

**NICZEGO
NIE MUSISZ
UDOWADNIAĆ**

NICZEGO NIE MUSISZ UDOWADNIAĆ

DLACZEGO MOŻESZ PRZESTAĆ
TAK BARDZO SIĘ STARAĆ

JENNIE ALLEN

Przełożyła
Aleksandra Czyżewska-Felczak

Wydawnictwo WAM

Za sprawą moich dwóch sióstr (i najlepszych przyjaciółek),
Brooke i Katie.



*Wy dwie okazujecie mi bezwarunkową,
nigdy nieustającą –
bez względu na wszystko –
niemuszącą niczego udowadniać
miłość.*

*Na dobre i na złe;
przetestowałyśmy to w tym roku,
a Bóg działający przez Was był wsparciem.
Zawsze będę Mu za Was wdzięczna.*

Spis treści



Przyznanie się do pragnienia	9
------------------------------	---

CZĘŚĆ PIERWSZA: NASZA PUSTYNIA ZMAGAŃ

1	Moje ciche wyznanie	21
2	Tabelki z gwiazdkami i plecaki	40
3	Odrętwienie	63
4	Wydostanie się na powietrze	83

CZĘŚĆ DRUGA: BOŻE STRUMIENIE WYSTARCZALNOŚCI

5	Już nie jestem spragniona <i>Strumień spełnienia</i>	101
6	Już nie jestem samotna <i>Strumień połączenia</i>	126
7	Już nie jestem zmęczona <i>Strumień odpoczynku</i>	154
8	Już nie jestem bierna <i>Strumień ryzyka</i>	182
9	Już się nie boję <i>Strumień nadziei</i>	208

10	Już się nie wstydzę <i>Strumień łaski</i>	232
11	Już nie jestem pusta <i>Strumień powołania</i>	256
	Końcowe przemyślenia: W co wierzymy	284
	Podziękowania	288
	Notatki	295

Przyznanie się do pragnienia

Jennie, dlaczego coś ukrywasz?

Moi najbliżsi przyjaciele zawsze zadają wścibskie pytania. Wciśnięta w tylne siedzenie samochodu podczas wyprawy do Houston tuż przed Bożym Narodzeniem udzielałam krótkich, banalnych odpowiedzi, nie chcąc skupiać na sobie szczególnej uwagi. Wiedziałam, że moje życie w porównaniu z życiem wielu innych osób po prostu nie jest aż tak trudne, jak czasem się wydaje.

Oni nie dali się jednak nabrać. Bekah naciskała:

– Widzę to, Jennie. Widać, że coś w tobie siedzi. Jesteś taka spięta. Skąd się to bierze?

Wyjrzałam przez okno. Oczy piekły mnie od łez, ale nie pozwoliłam im popłynąć. Nie mogłam się zdecydować, czy rzeczywiście chcę o tym wszystkim powiedzieć i naprawdę to poczuć. Chociaż bardzo starałam się być szczerą, mówiąc „wszystko w porządku”, w ostatnich miesiącach stopniowo rosła we mnie niema rozpacz.

Zdawało mi się, że cały czas coś ciężkiego leży mi na sercu i spędziłam wiele bezsennych nocy, lękając się i jednocześnie próbując zaufać Bogu co do takich kwestii jak...

... dokuczliwa niepewność, którą dźwigam, zastanawiając się, czy sposób, w jaki spędzam życie, ma jakiegokolwiek znaczenie;

... rosnące wyzwania związane z jednym z naszych dzieci i jego specjalnymi potrzebami;

... smutek, jaki czuję w związku z moją małą siostrą, która cierpi, przechodząc niewyobrażalną tragedię;

... nieunikniony stres, którego doświadczam, prowadząc rosnącą organizację zaczynającą żyć własnym życiem;

... zmęczenie, które przynoszą wszystkie te i inne trudne sytuacje;

... grzech, jaki wychodzi ze mnie wobec ludzi, których kocham, spowodowany całym tym stresem.

Ech. Czy mam się w to wgłębiać? Co dobrego by z tego wynikło?

Nie chcąc tracić opanowania, zachowałam to wszystko dla siebie w trakcie kilku godzin jazdy do Houston. Pragnęłam się skryć za znajomą pozą, aż wszyscy skierują uwagę na inny temat.

Milczałam i się zastanawiałam.

Ale oni nie zamierzali przestać.

Zmiana tematu.

– Zatrzymajmy się i zjedzmy coś. Nie jesteście głodni?

Postanowili, że pozwolą mi zjeść, jeśli się przed nimi otworzę i powiem, jak naprawdę się czuję. Szantażowana przez tych do szaleństwa dobrych przyjaciół musiałam zaryzykować i opuścić gardę.

Jakimś cudem na eleganckich przedmieściach Houston znaleźliśmy niedużą budę z hamburgerami, nieogrzewaną i z niewykończoną podłogą. Byliśmy jedynymi klientami. Stłoczyliśmy się przed zewnętrznym kaloryferem i zjedliśmy jedno z najlepszych burgerów w życiu.

Ku nieustannemu zmartwieniu wspaniałego kelnera, który co chwilę donosił mi serwetki, rozkleiłam się i w strumieniu łez wyjawiałam przyjaciółom całą prawdę o sobie: o stale odczuwanej niekompetencji; o strachu, że zawiodę tych, którymi kieruję, albo – co gorsza – własne dzieci; o uporczywej presji, którą próbuję ignorować, nie mogąc się od niej uwolnić; o smutku z powodu mojej siostry; o częstym zwątpieniu w Boga, mimo że wygłaszam mowy i piszę o Nim książki; o tym, że wcześniej warknęłam na biednego stażystę w biurze; o swoim stałym przekonaniu, że choćbym nie wiem jak się starała, nigdy nie będę wystarczająco dobra. Powiedziałam wszystko, czego nie chciałam mówić, a nawet przyznać sama przed sobą.

Przez bite dwie godziny przyjaciele poświęcili mi całą swoją uwagę. To było niczym tlen, który ofiarnie i bez osądzania podali mi i do którego wdychania mnie zmusili, a ja przyjęłam go z miłością i bez strachu. Po raz pierwszy od dawna śmiałam się mocno i bez skrępowania. Głębokim, radosnym śmiechem, żartując z siebie i własnego życia.

Przez te dwie godziny pozwoliłam sobie na bycie lekkomyślną osobą, której życie znajduje się w totalnej rozsypce. Uwolniłam się od oczekiwań, odgrywania ról, stresów codzienności.

Towarzyszące mi okoliczności w tamtej chwili wcale się nie zmieniły. Ale wewnątrz wszystko się poprzestawiało. Do tej pory nie uświadamiałam sobie, że niechcący pozwoliłam, aby moje życie niepostrzeżenie zmieniło się w spektakl. Wtedy, stojąc na klepisku, zapomniałam wszystkich kwestii, porzuciłam wszystkie swoje role, zrzuciłam kostiumy...

Niczego nie musiałam udowadniać.

Upajałam się łaską. Nie wiedziałam, że właśnie jej tak bardzo pragnęłam. Łaski. Nie wiedziałam, dopóki nie wyznałam swego pragnienia na klepisku nad hamburgerami. Moi przyjaciele mieli całe jej zapasy czerpane z zaraźliwej łaski Jezusa, którą dobrze znają. Jak zimny strumień łaska Jezusa wylała się z nich na moją suchą, strudzoną i spragnioną duszę.

Może też znasz to pragnienie, to siedzące głęboko w kościach łaknienie ulgi? Może czujesz je właśnie teraz? Jestem przekonana, że każda z nas zмага się z jakąś presją, jakimś cierpieniem, grzechem, ciężarem – może z nimi wszystkimi jednocześnie. A tymczasem co odpowiadamy, gdy słyszymy pytanie: „Jak się masz”?

Mówimy: „W porządku. Dobrze. Świetnie”.

Zdradzę wam tajemnicę: Nikt nie ma się w porządku, dobrze, świetnie.

Ale, wielkie nieba, wszystkie jesteśmy zmęczone udawaniem, że tak jest.

Jesteś zmęczona? Nie jesteś sama.

Prawda, jaką odkryłam tamtego dnia na klepisku nieopodal Houston, jest dostępna i aktualna każdego dnia, dla każdej z nas. Potrzebujemy nowego sposobu na życie.

Chcesz zejść ze sceny? Wiesz co? Cheeseburger i buda z klepi-
skiem pełna łaski czekają na ciebie.

Mimo to powinnam cię ostrzec: toczy się zacięta walka, żeby
powstrzymać cię przed dotarciem do tej łaski. Jeśli niebo, Bóg,
aniołowie i demony są prawdziwe, to prawdziwy wróg działa, aby
zapanować nad wszystkim, co w nas dobre, wolne, pełne pokoju
i radosne.

Zaczynamy więc tutaj. Zaczynamy od uświadomienia sobie, że
nie jesteśmy same. Zaczynamy od uświadomienia sobie, że napraw-
dę całe piekło będzie chciało nas dopaść, jeśli postanowimy żyć
w wolności i cieszyć się łaską.

Ben Rector, jeden z moich ulubionych piosenkarzy, który często
zamienia słowa w muzykę w sposób wyrażający prawdę, napisał:
„Czasami diabeł brzmi bardzo podobnie do Jezusa”^{*}.

Zostałyśmy okłamane przez wroga, który dokładnie wie, jak do
własnych celów wykorzystać nasze pragnienie. Dlatego rozpaczli-
wie potrzebujemy otworzyć oczy na jego przewrotne taktyki.

^{*} B. Rector, *If You Can Hear Me, The Walking In Between*, Aptly Named Records/ROAR, 2013.

GDYBYM BYŁA TWOIM WROGIEM

Gdybym była twoim wrogiem, oto, co bym zrobiła:

Sprawiłabym, żebyś uwierzyła, że potrzebujesz pozwolenia, aby kimś kierować.

Sprawiłabym, żebyś uwierzyła, że jesteś bezradna.

Sprawiłabym, żebyś uwierzyła, że nic nie znaczysz.

Sprawiłabym, żebyś uwierzyła, że Bóg wymaga od ciebie dobrych manier i stosownego zachowania.

Przez lata te kłamstwa wystarczyły, aby zamknąć sporą część Kościoła. Ale teraz wiele z was doznało przebudzenia. Jesteś zanurzona w Słowie i padłaś na kolana. Bóg przechodzi przez ciebie i stajesz się niebezpieczna. Zaczęłaś się wyzwać i prowadzić innych ku wolności. Stare kłamstwa już nie wystarczają.

Gdybym więc była twoim wrogiem, otępiłabym cię i odwróciła twoją uwagę od Bożej historii.

Technologia, media społecznościowe, Netflix, podróże, jedzenie i wino, komfort. Nie kusiłabym cię ewidentnie złymi rzeczami, bo nabrałabyś podejrzeń. Rozpraszałabym cię wygodami codziennego życia, byś karmiła się przyziemnymi sprawami i zapomniała o Bogu.

Wówczas odsunęłabyś od siebie prowadzącego cię Ducha, kochającego cię i pocieszającego. Zaczęłabyś miłować komfort bardziej niż oddanie się, posłuszeństwo i dusze.

Gdyby to nie zadziało, zaatakowałabym twoją tożsamość. Sprawiłabym, żebyś uwierzyła, że musisz dowieść własnej wartości.

Wtedy skupiłabyś się na samej sobie zamiast na Bogu.

Przyjaciele staliby się wrogami.

Koleżanki i koledzy z pracy staliby się konkurencją.

Odizolowałabyś się od wszystkich i myślała, że nie jesteś wystarczająco dobra.

Wpadłabyś w depresję i nie czuła wdzięczności za swoje życie.

Albo:

Porównywałabyś się do innych i sądziła, że jesteś od nich lepsza.

Osądzałabyś ludzi, którzy potrzebują Boga.

Potępiałabyś ich, zamiast kochać i zapraszać do siebie.

Rozsiewałabyś plotki, niszczyła i niweczyła inne dzieła Boga.

Tak czy owak, straciłabyś radość, bo twój wzrok byłby skupiony na tobie samej i ludziach, a nie na Jezusie.

A gdyby to nie zadziało, zatrulałabym cię misją Boga, która zastąpiłaby Jego samego.

Wówczas wielbiłabyś ideę zamiast Jezusa.

Walczyłabyś z innymi o najzaszczytniejsze role.

Wypaliłabyś się od ciągłych zmagających.

Myślałabyś, że miarą sukcesu są widoczne rezultaty.

Tworzyłabyś kanały społecznościowe dla pokłasku, a nie po to, aby głosić Boga.

Cały swój czas i wysiłek podporządkowałabyś stawianiu się kimś ważnym, a nie poznawaniu Jezusa i kochaniu ludzi. Celem stałoby się zbieranie obserwujących na Facebooku, zajęcie dobrze kojarzącego się stanowiska, publikowanie książek, tworzenie wielkich duszpasterstw, a nie szukanie dusz ludzkich i chwały Boga.

A gdyby i to nie zadziało, sprawiłabym, żebyś cierpiała.

Może wtedy pomyślałabyś, że Bóg jest zły, a nie dobry.

Twoja wiara by obumarła.

Stałabyś się zgorzkniała, znużona i zmęczona, nie rozwijałabyś się i nie wzrastała na podobieństwo Chrystusa.

Próbowałabyś kontrolować swoje życie, zamiast przystać na plany, które On ma dla ciebie.

Wróg mówi ci, że wolność da się odnaleźć tylko wtedy, gdy ostatecznie udowodnisz sobie i światu, że...

ty jesteś ważna;

ty masz nad wszystkim kontrolę;

ty jesteś lubiana;

ty jesteś szczęśliwa;

ty jesteś wystarczająco dobra.

ZDEMASKOWANIE KŁAMSTWA

Posłuchaj. Wróg obiecuje nam wodę, ale za każdym razem, gdy idziemy do jego studni, one są puste. Daje nam łyk na tyle zadowalający, żebyśmy dalej mu wierzyły. Wierzyłyśmy w kłamstwo, że nasze pragnienia zostaną zaspokojone, jeśli będziemy wystarczająco dobre i będziemy posiadały wystarczająco dużo. Gonimy więc za wyobrażeniem, odpowiedziami, rzeczami, ludźmi – aż niespodziewanie zaczynamy się zastanawiać: Dlaczego nadal jestem spragniona?

W Księdze Jeremiasza Bóg dokładnie wyjaśnia, co się dzieje:

Bo podwójne zło popełnił mój naród:

opuścili Mnie, źródło żywej wody,

żeby wykopać sobie cysterny,

cysterny popękane,

które nie utrzymują wody. (Jr 2,13)

Woda. Żaden człowiek nie przeżyje bez niej trzech dni. Żaden inny zasób nie jest aż tak niezbędny do podtrzymania życia. Żaden.

Kiedy spojrzysz na mapy najbardziej jałowych miejsc na świecie, znajdziesz miasta wzdłuż rzek i strumieni wody. Tam, gdzie jest woda, jest też życie. Roślinność, zwierzęta, przemysł, kwitnąca ludzkość. **A bez wody jest śmierć.**

Sądzę, że nie sięgnęłabyś po tę książkę, gdybyś nie czuła pragnienia. Wierzę, że jesteś tutaj, bo jesteś tak bardzo spragniona, że już dłużej nie możesz tego znieść i modlisz się, że może tym razem odnajdziesz żywe, niewyczerpane źródło wody na całe życie. Ja jestem tutaj, ponieważ chcę walczyć o to, abyś żyła, abyś nie była już spragniona, ale pełna. Znalazłam wodę. Znalazłam wytchnienie. I pokażę ci, gdzie ono mieszka.

Istnieje woda dla ciebie. Nie tylko wystarczająco dużo, aby ugasić twoje pragnienie, ale nieograniczony zapas, który cię wypełni, a potem rozleje się z ciebie na spragniony świat. Ale wodę, której potrzebujesz, można znaleźć tylko w jednym Źródle.

Powiem ci od razu, to nie sekret. Jest tylko jedna odpowiedź na twoje pragnienie:

Jezus.

„Jeśli ktoś jest spragniony, a wierzy we Mnie – niech przyjdzie do Mnie i pije!”, mówi On w Ewangelii według św. Jana. „Jak rzekło Pismo: Rzeki wody żywej popłyną z jego wnętrza” (J 7,37–38).

On sam jest Źródłem, z którego wypływa wszystko, czego pragniemy i kim mamy nadzieję się stać.

Cieszę się, że mogę zacząć właśnie od tego, nie składając pustych obietnic. Bo moim jedynym celem jest poprowadzić twą spragnioną duszę do strumieni wody żywej, do Jezusa. On zawsze dotrzymuje słowa.

Dlaczego tędy?

Praktycznie nic, z czym zmagam się w swoim życiu, nie zmieniło się tamtego dnia na klepisku w Houston. A jednak zmieniło się wszystko.

Nie czułam się tak samotna.

Poczułam ulgę.

Poczułam się kochana.

Poczułam, że mogę wziąć głęboki oddech.

Poczułam się poznana.

Uwierzyłam mocniej Jezusowi. Że On przebacza i jest w tym wszystkim ze mną.

Poczułam narastającą falę wolności, która przychodzi wraz z życiem, w którym Niczego. Nie. Musisz. Udowodniać.

Muszę cię ostrzec, że znalezienie drogi wyjścia z pustyni zmagania i presji nie będzie łatwe. Ale mam nadzieję, że i tak ze mną wyruszysz. Pokażę ci, jak mnie się to udało.

Zacznijmy od początku, kiedy to nauczyłam się gonić fatamorgany wody na pustyni...

Część pierwsza

**NASZA
PUSTYNIA
ZMAGAŃ**

Moje ciche wyznanie

Ten głos siedział w mojej głowie przez większość życia.
Nie jestem wystarczająco dobra.

Podciągnął mnie sobie na kolana, chude nogi dwunastolatki zwisały z oparcia podniszczonej leżanki w szkocką kratę. Tatuś to marzyciel, a w tym miejscu marzymy. Pod naporem jego wysokiego na metr osiemdziesiąt ciała fotel z łatwością się rozkładał i oboje wpatrywaliśmy się w popcornowy sufit, rozmyślając.

– Jennie, czy jakiś chłopiec zwraca na ciebie uwagę?

Zachichotałam, jak powinnam, bo dwunastolatce ta myśl wydała się śmieszna. Wkrótce potem chłopcy rzeczywiście stali się obiektem mojego zainteresowania graniczącego z obsesją, ale jeszcze nie wtedy. Byłam tyczkowata, a do tego rok wcześniej moja babcia ścięła mi króciusieńko włosy. Jestem pewna, że nie miała złych intencji. Gdy skończyła, przekrzywiła głowę i stwierdziła, że jeszcze bardziej do twarzy będzie mi z trwałą.

Moja elegancka babcia o srebrnych włosach i ja, piątklasistka, miałyśmy takie same fryzury.

Więc nie, tato. Nie było żadnych chłopców. No, może poza Henrym, którego blond czupryna była bardziej niesforna niż on sam. Po tragicznym zajściu w piątej klasie Henry życzliwie zapytał, czy to odkurzacze wessał mi włosy.

Tak, to nadal trochę boli.

Tata i ja snuliśmy marzenia i domysły. Stopnie. Przyjaciele. Sport. Chłopcy. Wyrzucał z siebie kolejne tematy, jakby brał je z tajnego katalogu rozdawanego wszystkim ojcom, aby zagadywali o nie córki, gdy trudno im z nimi rozmawiać.

Ta lista nie miała na celu wyliczenia wszystkich jego oczekiwań; po prostu odhaczał na niej kolejne pozycje, aby pomóc swojej dziwacznej córce z rozbieranym wzrokiem wyznaczyć sobie cele i znaleźć własne miejsce w świecie. Przede wszystkim próbował wyciągnąć ze mnie jakieś informacje, chociaż uświadomiłam to sobie dopiero teraz, gdy sama odchowałam dwoje dwunastolatków. Nie mógł wiedzieć, że wówczas mój mały mózg pierwotnego dziecka ze wszystkich sił starał się przyswoić sobie tę listę, a wraz z nią zobaczył poprzeczkę, której nie dosięgnie. Gruba czarna linia wyznaczała metę, do której dotrę, realizując coraz dłuższą listę wyobrażeń i nieosiągalnych wymagań.

Ta linia czekała bez końca w odległym zakątku mojego umysłu, kusząc, abym do niej zmierzała. Przez większość życia w moim umyśle istniała teoria, którą przyjmowałam za fakt: mogę dotrzeć do

miejsca, w którym wreszcie dowiodę własnej wartości. Dotrę tam i w końcu dorównam swojej rodzinie, rówieśnikom, Bogu i własnym oczekiwaniom. Za każdym razem jednak, gdy wydawało mi się, że już się zbliżam, meta przesuwała się jak fatamorgana na pustyni.

To wszystko zaczęło się, zanim byłem na tyle duża, żeby zauważyć chłopców lub zostać przez nich zauważoną. Wtedy ta myśl naszła mnie po raz pierwszy...

Nie byłem wystarczająco dobra.



Na pierwszym roku studiów na Uniwersytecie w Arkansas kilka przyjaciółek zmusiło mnie, żebym wraz z nimi stanęła w długiej kolejce chętnych do zespołu cheerleaderek naszej piłkarskiej drużyny Razorbacks. Oczywiście nie miałam na to szans – nie byłam szczególnie wysportowana. W pierwszej klasie przez sezon grałam w piłkę nożną. Potem któregoś roku próbowałam swoich sił na bieżni i melodramatycznie, choć całkiem autentycznie zemdlałam po przebiegnięciu ośmiuset metrów na pierwszym mityngu. Chodziłam na zajęcia z gimnastyki, ale dopiero w ostatniej klasie liceum udało mi się dostać do zespołu cheerleaderek. Nie wiem, czy nie byłem wystarczająco dobra, czy może denerwowałam się tak bardzo, że czułam mdłości i zapominałam o uśmiechu. Tak czy owak, miałam świadomość, że na poziomie uniwersytetu sobie nie poradzę, choć miło było poudawać przez kilka dni, że może jednak.

Dorastając w Arkansas, chodziłam z tatą na wszystkie mecze Razorbacks i co na nich robiłam? Nie obserwowałam chłopców w ochraniaczach na boisku. Podobnie jak wiele innych nastolatków na stadionie zapamiętywałam każdy ruch cheerleaderek. A teraz stałam w kolejce wśród najbardziej uroczych i wysportowanych dziewcząt, jakie kiedykolwiek widziałam, wszystkich w koszulkach instruktoerek National Cheerleaders Association. Trzymały CV, w których wyliczały zdobyte nagrody i wyjątkowe zespoły, do jakich należały.

Ja nie miałam CV. Jeden rok w roli cheerleaderki w liceum to za mało, żeby je spisywać.

Niewiele brakowało, a bym sobie poszła, ale zostałam. Mimo braku doświadczenia jakimś cudem dostałam się do uniwersyteckiego zespołu. Dobrze, zdaję sobie sprawę, że te pozornie przypadkowe historie z mojej młodości o blondynku Henrym i przesłuchaniach na cheerleaderkę mogą was nużyć, ale wytrzymajcie jeszcze trochę. Świat nie czeka, aż osiągniesz pewien wiek, w którym wręczy ci tożsamość. Od dzieciństwa zaczynamy określać same siebie pod wpływem rozmaitych sytuacji.

A więc czerwona jak świnka, w ciasnym kostiumie, z poczuciem, że znalazłam się w nieodpowiednim miejscu, i strachem, które towarzyszyły mi zawsze i wszędzie, przyszłam na pierwszy trening wraz z dziewczynami, które zasługiwały na to, żeby tam być. Czułam się jak oszustka. A dodatkowo, mimo że miałam przeciętne metr sześćdziesiąt dwa centymetry wzrostu, w świecie cheerleaderek należałam do najwyższych.

Wydawało mi się, że popełniłam olbrzymi błąd.

Trenerka zaprowadziła nas na piętro hali gimnastycznej – na trzy, cztery godziny każdego dnia to miejsce miało się stać naszym drugim domem. Ciągnął się tam długi biały korytarz z drzwiami prowadzącymi do gabinetów. Na jego końcu widniała medyczna waga. Ustawiliśmy się w szeregu i kolejno wchodziłyśmy na chwiejny metalowy przyrząd. Trenerka trzymała notatnik i zapisywała wyniki przy naszych nazwiskach. Robiła to co sześć tygodni przez kolejnych kilka lat. Jeśli nasza waga wzrosła o parę kilo, dawano nam wybór: zrzucić je albo siedzieć na ławce rezerwowych. Tylko raz mi się to przytrafiło.

Tak właśnie mała dziewczynka, która nigdy nie czuła się wystarczająco ładna, stanęła do uniwersyteckich zmagani z wagą i na pięć lat wpadła po uszy w zaburzenia odżywiania połączone z obsesyjną kontrolą własnego wyglądu.

Wszystko to z powodu znajomej ciemnej linii, która z oddali przypominała mi...

Nie byłam wystarczająco dobra.



– Ludzie nie myślą o tobie tak często, jak ci się wydaje.

Moja praktyczna mama zapewniała mnie o tym, gdy chodziłam do siódmej klasy i tworzyłam olbrzymie teorie spiskowe mające wyjaśnić, dlaczego nie jestem zapraszana na ważne towarzyskie

wydarzenia, jak na przykład imprezę z nocowaniem u Stephanie Angelo z okazji końca roku szkolnego. Mama chciała, żeby to mnie pocieszyło. I w dziwny sposób działało. Nigdy nie chciałam być obiektem cudzych myśli; karmienie się czyjąś aprobatą wydawało mi się zbyt ryzykowne.

A potem zostałam żoną pastora. I wiecie co? Mantra mojej mamy ze szkolnych lat przestała się sprawdzać. Ludzie zdecydowanie myśleli o mnie o wiele częściej, niżbym sobie tego życzyła. Czy nasze dzieci chodzą do publicznej, czy prywatnej szkoły. Na co wydajemy pieniądze. Jak dzieci się zachowują. Z kim się przyjaźnimy. Jak mój mąż przewodniczył, a nawet w co był ubrany. Na wszystkie te i inne kwestie regularnie zwracano mi uwagę lub mnie o nie wypytywano.

W weekendy zazwyczaj mój mąż Zac zajmował się przygotowaniem kazań, a w każdy niedzielny poranek znikał, zanim się obudziłam. Przeważnie Conner, mój najstarszy syn, wstawał pierwszy, a za nim dwoje młodszych dzieci. Co tydzień podejmowaliśmy walkę o szczotkowanie włosów oraz zębów i o to, co każdy powinien na siebie włożyć. Ostatecznie zrezygnowałam z idealistycznych pomysłów typu kokardy. Moim szczerym marzeniem było zdać do kościoła na czas, ale to rzadko się udawało.

Gdy w końcu zdołałam zagonić dzieci na zajęcia szkolki niedzielnej, ruszałam korytarzem na spotkanie z członkami kościoła.

Nigdy nie radziłam sobie dobrze w takich sytuacjach towarzyskich, ale jako żona pastora zaczęłam się ich wręcz lękać.

Powinnam was poinformować, że mam zespół zaburzeń koncentracji uwagi (ADD). Wiem, że sporo osób żartuje sobie, że go ma, ale u tych, u których rzeczywiście go zdiagnozowano, mózg pracuje inaczej. Z powodu ADD trudno mi się skupić w pomieszczeniach pełnych ludzi. Domyślam się, że mózgi większości potrafią zignorować toczące się równolegle rozmowy, płacz dziecka, wielbienie, które rozpoczęło się już na sali gimnastycznej, odgłosy kroków za plecami. Ale ja nie mogę. Słyszę to wszystko.

Mózgi osób z ADD mają dwa tryby: pierwszy to intensywna koncentracja umysłowa, umiejętność skupienia się na jednej rzeczy tak absolutnie, jakby reszta świata zupełnie przestała istnieć, jakby się przebywało w kompletnie innym wymiarze. Drugi tryb polega na tym, że mózg tak szybko przechodzi od jednej rzeczy do drugiej, że skupienie się na czymkolwiek graniczy z niemożliwością. Jeśli panuję nad sytuacją, na przykład ty i ja spokojnie rozmawiamy przy kawie, mogę przełączyć się na tryb intensywnej koncentracji i nigdy się nie domyślisz, że mam ADD. Ale spotkanie z wieloma osobami jednocześnie to dla mnie tortura. Zwyczajna rozmowa staje się beznadziejnym wyzwaniem, zwłaszcza po zajmowaniu się trójką małych dzieci przez cały ranek.

Każdej niedzieli po zaprowadzeniu dzieci do szkoły z przeżeniem szłam korytarzem założonego przez nas kościoła. Nie chodziło o ludzi, uwielbiałam ich. Problem stanowiły ich jawne oczekiwania wobec mnie. Rozpaczliwie pragnęłam im udowodnić, że pomagam Zacowi i równie mocno jak on troszczę się o nasze

zgromadzenie. Przy zakładaniu wspólnoty nie istnieją budynki, programy ani historia, które pomogłyby gościom ocenić, czy to miejsce będzie dla nich odpowiednie, więc często podejmują decyzję, aby zostać, bazując na ocenie pastora, jego wizji i jego żony.

Czy ufamy temu pastorowi i jego żonie? Czy ich lubimy? Czy możemy za nimi podążać? Wiedziałam, że każdego tygodnia w naszej małej, rosnącej wspólnocie większość zgromadzonych zadawała sobie te pytania.

Todd zapewne minął mnie na korytarzu, gdy byłam przerażona. Prawdopodobnie powiedział „cześć” i się uśmiechnął. Nie odpowiedziałam mu uśmiechem, bo nie usłyszałam, jak się ze mną wita.

Ktoregoś razu zadzwoniła do mnie żona.

– Czy ty się na nas gniewasz?

Nic dalszego od prawdy. Należeli do naszych najserdeczniejszych przyjaciół. Dlaczego Rachel mnie o to pytała?

Rachel ciągnęła:

– Todd mówi, że kilka razy chciał z tobą porozmawiać w niedzielę rano na korytarzu, ale ty go zawsze ignorujesz.

Wierzcie mi, pasywno-agresywne zachowanie nie jest w moim stylu. Wręcz przeciwnie, czasem bywam za bardzo bezpośrednia, gdy coś mi przeszkadza. Oczywiście nie gniewałam się na Todda i go nie ignorowałam, ale jak miałam wytłumaczyć presję, jaką odczuwam w niedzielę, aby stanąć na wysokości zadania i odegrać swoją rolę? Jak opisać, co czułam, wchodząc do kościoła z trójką byle jak ubranych dzieci na oczach mnóstwa ludzi zastanawiających

się, czy im odpowiadamy? Jak powiedzieć jej, że mam ADD i przez wiele tygodni z rzędu nawet nie słyszałam Todda?

Niczego więc nie wyjawiałam. Po prostu przeprosiłam i zapewniłam, że między nami wszystko dobrze.

Ale kiedy od tamtej pory szłam korytarzem, dodawałam do swojej rosnącej listy stresujących zadań: uśmiechaj się i witaj każdą mijaną osobę.

Nie byłam wystarczająco dobra.



Dostałam mail ze szkoły, do której chodzą moje dzieci, z prośbą o spotkanie. Naprzeciwko mnie siedziało troje przedstawicieli administracji z przygotowanymi notatkami, a ja czułam się bezradna i kompletnie nieprzygotowana.

– Pani dziecko nie odnosi sukcesów i zastanawiamy się, czy otrzymuje stosowną pomoc w domu.

– Wiemy, że pani dużo pracuje i podróżuje.

– Wiemy, że jesteście wszyscy bardzo zajęci.

Chociaż te słowa wypowiedziano w życzliwy sposób, wyrażały one moje najgorsze obawy:

Nie jestem wystarczająco dobra.

Nie robię wystarczająco dużo.

Nie sprawdzam się jako matka.

Moje dziecko sobie nie radzi i to jest moja wina.

Pragnęłam szczerze się wytłumaczyć: Nie mogłabym kochać mojego dziecka bardziej. Zawsze pomagałam mu z zadaniami domowymi. Och, tak bardzo się za nie modłę. Często kosztem pracy staram się zapewnić mu odpowiednią pomoc.

Nic nie powiedziałam.

Zamiast tego powstrzymałam łzy i zdusiłam w sobie niedostateczne wymówki. Słuchałam. Zadawałam pytania. A potem wyszłam stamtąd i wybuchnęłam płaczem na przednim siedzeniu samochodu. Nie mogłam oddychać. Pojechałam do domu i w pośpiechu minęłam Zaca, który spojrzał na mnie, chcąc zapytać, kto odwiezie Kate, naszą czternastoletnią córkę, na trening. Nie byłam w stanie mu odpowiedzieć. Chciałam jedynie gdzieś się schować.

Położyłam się na dnie szafy z ubraniami, chwyciłam leżącą tam brudną koszulkę i ukryłam w niej twarz. Płakałam mocniej, niż ktokolwiek powinien płakać. Kiedy wreszcie wzięłam głęboki oddech, osuszyłam łzy i otworzyłam oczy, moją pierwszą myślą było: O kurczę, moja garderoba to totalne pobojoisko!

Zaparło mi dech, a łzy znów zaczęły płynąć w koszulkę. Najwyraźniej katastrofa w szafie wystarczy, żebym kompletnie się załamała.

Nie byłam wystarczająco dobra.



Przez wiele lat ten głos siedział w mojej głowie: Nie jestem wystarczająco dobra. Czy możliwe, że ty też go słyszysz?

Może nigdy nie zmagając się z zaburzeniami odżywiania albo ze stresem związanym z byciem żoną pastora, ale jestem przekonana, że prawie każda z nas czuje tę niesamowitą presję, aby udowodnić, że dorównuje innym. Każdego ranka mierzymy się z listą zadań niedokończonych poprzedniej nocy, oczekiwaniami rodziny i współpracowników, ciężarem bycia pięknymi, silnymi, miłosiernymi, idealnymi ludźmi, jakich w naszym przekonaniu potrzebuje świat, Kościół i Bóg. Przeczujemy, że gdzieś tam znajduje się złowieszcza waga i notatnik, który – na oczach wszystkich – rejestruje nasze wyniki. Walczymy z poczuciem niedoskonałości.

Chodzimy po świecie, rozpaczliwie przerażone, że nie dajemy sobie rady. W pośpiechu tworzymy strategie mające wzmocnić naszą samoocenę, trochę jak wtedy, gdy przebiegałyśmy się jako siedmiolatki. Myślimy, że jesteśmy kimś dorosłym, ładnym i spełnionym, i chcemy tym kimś być.

Głęboko w środku czujemy jednak, że to tylko pozory. Nie jesteśmy wystarczająco dobre.

Więc przez cały czas próbujemy to zmienić.

Bóg ma dla nas inną fabułę: taką, w której nasze dusze są zadowolone, a w naszym życiu dzieją się epickie historie – ale nie dzięki nam.

Mimo tego, jakie jesteśmy.

List do Rzymian jasno opisuje naszą rzeczywistość: „wszyscy bowiem zgrzeszyli i pozbawieni są chwały Bożej” (Rz 3,23).